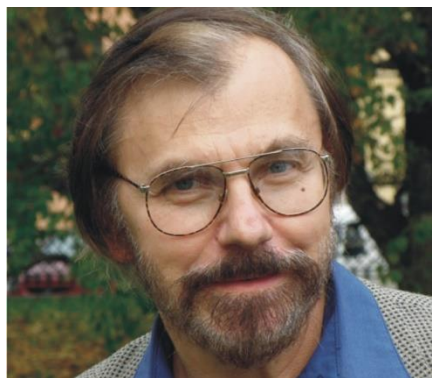


Listy do Pani A. (203)



Fot. Andrzej Dębowski

Stara prochownia

Droga Pani!

Nie lubię słowa „poeta”. Z jednej strony ze względu na archaiczne konotacje. Poeta kojarzył się potocznie z bladym, długowłosym młodzieńcem, zapatrzonym w niebo, oderwanym od rzeczywistości, cierpiącym za miliony, chorym, najlepiej na gruźlicę; z takim osobnikiem ni z pierza ni z mięsa. Mało kto brał pod uwagę, że taki romantyczny wdychacz w wierszach, może być pijakiem, jakich mało, silnym bykiem, rozwiązłym, ordynarnym samcem. I to by było pół biedy.

Drugi powód, to ten, że bardzo się to pojęcie obecnie zdewaluowało. Teraz kto tylko napisał jeden wierszynek, już jest poetą. Paniuś wdychające do ptaszków (cokolwiek to znaczy) są już poetkami. Ich sabaty, to złoty poetów, często międzynarodowe. Niejeden belfer, rzeźnik, inżynier, a często student, jak sobie w niedzielę „rymnie”, to już pełną gębą „poeta”. Chłopaczek, mąż swojej żony czy patriarchalny starzec, automatycznie stają się przedstawicielami poetyckiej profesji.

Amator? A któż to taki? Kiedy więc idę ulicą, to – niczym mnich buddyjski – zważam pilnie, aby nie rozdeptać jakiegoś pełzającego chodnikiem robaczka, bo... to także może być poeta! Na pewno lepszy od ryczących liryków. Przyzna mi Pani rację, że jednak, mówiąc serio, poeta to zawód, wymagający umiejętności, erudycji, wprawy, orientacji w tym, co dzieło się i dzieje w literaturze. I może przede wszystkim to sprawa talentu, o czym dzisiejsi wieszczowie zdają się zapominać, albo nie przyjmować do wiadomości. Przecież oni wszyscy mają nadnaturalne talenty niebotyczne! Dlatego chcę raz jeszcze wrócić do poezji Stefana Pastuszewskiego, do jego książki „Na krawędzi”. O tym tomie wspominałem Pani w poprzednim „Liście”.

To poważna, refleksyjna twórczość, warsztatowo doskonała. Bardzo ciekawa, choć trudna. Nie każdy, kto szuka tanich wzruszonek ją pojmie.

Proszę więc zobaczyć, jak rzeczywisty poeta podchodzi do problemu czasu.

Czas odgrywa niebagatelną rolę w poezji Pastuszewskiego; niekoniecznie pojmowany linearnie. Tu mamy do czynienia z osobliwym

wyjściem poza znane (przeczuwane?) ramy i granice czasoprzestrzeni. Czas przeszły na owej metafizycznej krawędzi bywa niekiedy czasem teraźniejszym, który zastępną „w kamieniu chwili”; daje się rozciągać – jak mówi poeta – niczym guma do żucia. Nie ważne, czy dane wydarzenia miały miejsce tysiące lat temu, czy też dopiero wydarzą się w przyszłości. Życie bowiem nie jest wiecznym trwaniem w tym samym miejscu, ale przejściem do innych, w tej chwili nam nieznanych wymiarów i czasoprzestrzeni.

Takie przenikanie się czasów, swoiste uzupełnianie wszelkich zjawisk, nawet bez względu na owe etapy czasowe, są bardzo charakterystyczne dla tej poezji. To swoiste zapisy – można rzec – „egzystencjalnych okresów”, inspirowane różnymi doznaniem, strzępami dawnych i bliskich przeżyć, rozmaitymi historiami własnymi oraz innych ludzi. Oto jak ważna jest pamięć, ten fundament, na którym budujemy nasz osobisty świat.

Osobisty nie znaczy prywatny. Wiersze Stefana Pastuszewskiego są dalece uniwersalizowane. Emitują całą gamę fal odbieranych przez różne wrażliwości, wyobraźnie; korespondują z całą różnorodnością ludzkich doświadczeń. Niestety większość piszących poprzestaje na wyłącznie naskórkowych wrażeniach. Dlaczego? Bo tutaj trzeba myśleć, panowie i panie, a to takie trudne!

Śmieszają mnie także wierszyki moralizatorskie, pełne oczywistości, rozstrzygające, co dobre, a co złe, niosące przepisy na „życie porzeczne”, pouczające o „wartościach”.

Tymczasem osobiście nie wyznaję żadnych tak pojętych „wartości”. Bo co to są owe wartości? Puste i głupie pojęcia. Owszem, istnieją pewne zasady, którymi każdy powinien się kierować w życiu: zasady ogólnoludzkiego współzycia, elementy uniwersalnej etyki. A to nie ma nic wspólnego z wyimaginowanymi „wartościami” narzucanymi przez kościoły, partie, stowarzyszenia czy dziko żyjących oszołomów.

Oglądałem debatę kandydatów na kandydatów na prezydenta. Bawiłem się doskonale. To był kabaretowy program trwający trzy godziny, przy którym nie sposób się było nudzić. Byli nieliczni rozsądniejsi, reszta przeciętna i na usługach różnych ideologii, a dwóch lub trzech kompletnych idiotów na niczym się nie znających. To tak jakby goryle kandydowały na stanowisko kierownika biblioteki. Czy Pani także ten cyrk oglądała? Żałowałem, że nie biorę w tej debacie udziału. Bo dało by mi to asumpt do publicznych, prześmiewczych, a może niektórych gorszących komentarzy. Wzbudzałbym święte oburzenie. Od tej strony mnie Pani nie zna, bo chyba nie uczestniczyła w niektórych imprezach literackich, czy moich spotkaniach autorskich. Byłaby Pani zaskoczona, bo na ogół wyglądam jak mizerna cicha stajenka licha, a w rzeczywistości... stara prochownia!

Wynika z tego wszystkiego smutny fakt, że mamy w kraju szalony deficyt ludzi mądrych, wykształconych, obiektywnych, samodzielnie myślących, a może przede wszystkim z poczuciem humoru.

Czasami zdarzają się tacy w Kościele. Właśnie dowiedziałem się, że zmarł o. prof. Jan Andrzej Kłoczowski, dominikanin. Wielka szkoda. Ale wśród młodych duchownych na szczęście znajdują się ludzie o otwartych twórczych, odważnych umysłach, nie ulegający fanatyzmowi i zabobonom.

Także coraz bardziej brakuje mi ludzi z tak zwanego środowiska, krótko mówiąc kolegów i przyjaciół; chwil spędzanych w „Literatce”, albo z gabinetu Marka Wawrzkiwicza. W większość miejsc wlewa się plankton. Teraz nie chodzę na zebrania, nie mam z większością tych ludzi nic wspólnego. A wtedy przychodziła Aldona Borowicz, Krzysztof Gąsiorowski, Zbyszek Jerzyna, Ryszard Ulicki, z żoną Marią, Zbyszek Milewski, Rafał Skąpski... Pojawiał się też Andrzej Tchórzewski.

Właśnie w tej chwili przyszła niezmiernie przykra wiadomość, że zmarł. Jesteśmy z Anią wstrząśnięci. Znakomity poeta, erudyta, człowiek wielkiej szlachetności, a przede wszystkim wielki przyjaciel. Niezapomniane są nasze rozmowy, wizyty u Andrzeja i Aldony w domu, a także w wiosenne i letnie dni pobytu na ich pięknie utrzymanej działce na Bemowie, którą tak kochali. To był prawdziwy azyl. Zieleń, kwiaty, ptaki...

Serdeczność, humor, wzajemne wsparcie zawsze nam towarzyszyło. Rozmawialiśmy nieraz z Andrzejem o poezji, mówiłem mu o swoich wątpliwościach. Niezmiennie życzliwie, z humorem i wielką mądrością potrafił wyjaśniać wszelkie dylematy. A także oceniać rzeczywistość – bardzo sprawiedliwie, choć niekiedy surowo i bezwzględnie.

Znaliśmy się od dawna. Andrzej pracował w „Poezji”, a potem za czasów „transformacji” sprzedawał na Placu Na Rozdrożu z samochodu książki, aby móc przeżyć. Idąc do pobliskiej redakcji „Literatury” zatrzymywałem się, aby zamienić z nim choć kilka słów.

W moim wieku coraz więcej dni naznaczonych utratą. Nierzadko spotykaliśmy się w kawiarni Związku Literatów przy Krakowskim Przedmieściu z poetą Janem Stanisławem Kiczorem oraz z Leszkiem Żulińskim. Ja i Jan zamawialiśmy tatara i pół litra dobrze zmrożonej wódeczki, a Leszek torcik bezowy i kawę, bo już nie mógł pić. Siedziało się, gadało się, przerzucało się konceptami. To były czasy. Dzisiaj – pustka.

Żal tamtych czasów, ale to próżny żal, bo one nie powrócą. Wszystko staje się inne, ale wciąż ciekawe. Żyjemy zatem niełatwym dniem dzisiejszym. Pani jest młoda, nie wszystko w Pani oczach tak gwałtownie się zmieniło, stało się bezpowrotnie dalekie. Też tak czułem jeszcze ćwierć wieku temu. Ale to, jak zwykłem byłem mówić, przeminęło z wiatrami.

Cieszymy się jednak życiem, bo ono jeszcze przyniesie nam wiele pięknych, ekscytujących doznań, o których dziś jeszcze nie mamy pojęcia.

Radości, słońca i ciepła z serca Pani życzę –

Stefan Jurkowski